

Marta Labecka

# Flaw (less)

Opowiedz mi naszą historię



beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redakcja: Anna Skóra

Projekt okładki: Maciej Grzegorek

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<https://beya.pl/user/opinie/flawlv>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-8322-799-3

Copyright © Marta Łabęcka 2022, 2023

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# Prolog

Zakochiwanie się w nim było jak stanie na krawędzi klifu i wpatrywanie się we wzburzone morze ze świadomością, że wystarczy zaledwie jeden krok, by szalejący żywioł pochłonął cię bezpowrotnie — nie jesteś w stanie się odsunąć, chociaż rozsądek krzyczy, byś zawróciła.

Zakochiwanie się w niej było jak letnie wieczory, kiedy po upalnym dniu przychodzi moment wytchnienia. Cenne minuty, zaraz po zachodzie słońca, gdy niebo przybiera pastelowe kolory. I chociaż wiesz, że wraz z nastaniem nocy z cieni znów wyłonią się twoje demony, przez tę krótką chwilę czujesz w sercu niewytłumaczalny spokój.

# Rozdział 1

Tego poranka po wyłączeniu budzika Josephine dała sobie chwilę na wzięcie kilku głębokich wdechów, zanim uznała, że jest gotowa wstać z łóżka, by mierzyć się z rzeczywistością. Ostatnio ta prosta czynność stawała się coraz trudniejsza, a poczucie wyczerpania towarzyszyło dziewczynie niemal nieustannie.

Z westchnieniem opuściła ciepłe łóżko, zbierając przy okazji książki, pośród których zasnęła ostatniej nocy. Było to niemal codziennością — zdecydowanie za często zdarzało jej się katować nauką tak długo, że przemęczony organizm sam w końcu odcinał zasilanie. Rozpoczęła ostatnią klasę szkoły średniej zaledwie kilka tygodni wcześniej, ale jeśli chciała być najlepsza, a właśnie taka musiała być, nie mogła sobie pozwolić na trwonienie cennego czasu.

*Musisz postarać się bardziej, Josephine* — słowa matki usłyszane poprzedniego wieczoru wciąż krążyły jej w głowie. *Chyba nie chcesz znów nas rozczarować.*

Jeśli miałyby być ze sobą całkowicie szczerą, nie była pewna, czy w przypadku jej starań w ogóle istniało jakieś *bardziej*. Jednak jej opinia w tej kwestii była najmniej istotna i jeśli matka oczekiwała, że Josephine się postara, nie pozostało jej nic innego, jak spełnić te oczekiwania bez względu na cenę.

Odłożyła książki i przeniosła wzrok na kalendarz zawieszony nad biurkiem. Od wielu lat odhaczała każdy kolejny dzień. Był to jej sposób motywowania się, a także nieustanne przypominanie, że znosi to wszystko w konkretnym celu, do którego każdy dzień walki ją przybliżał.

*Jedenaście miesięcy. Za rok o tej porze nic nie będzie miało już znaczenia* — powtarzała jak mantrę, jak osobistą modlitwę, by dodać sobie sił.

\* \* \*

— Dzień dobry, panienko Sinclair. — Ciepły głos pani Murphy powitał ją, gdy pojawiła się w kuchni. Tylko szczerą sympatią do jego właścicielki sprawiła, że Josephine powstrzymała grymas niezadowolenia.

— Doskonale wiesz, że nienawidzę, kiedy mnie tak nazywasz — powiedziała, siadając na jednym z krzeseł przy wyspie kuchennej.

— Wybacz, kochanie, ale twoja mama była tu jeszcze chwilę temu — wyznała kobieta ściszym głosem, stawiając przed nią talerz z przygotowanym śniadaniem. — Smacznego, panienko — dodała głośniejszym, uśmiechając się przy tym przepraszająco.

Prawie sześćdziesięcioletnia Margaret Murphy była gosposią w ich domu na długo przed narodzinami Josephine i doskonale wiedziała, jaka potrafi być starsza z kobiet rodziny Sinclair. Dlatego mimo wielkiej, niemal matczynej miłości do dziewczyny nie zamierzała bez wyraźnej potrzeby narażać się na dezaprobatę pracodawczyni. A o nią było niezwykle łatwo.

Nastolatka skrycie podziwiała fakt, że ktoś tak dobry i ciepły z własnej woli wytrzymał z jej matką tak długo, ponieważ ona sama po niespełna osiemnastu latach wręcz nie mogła się doczekać, kiedy się od niej uwolni.

Pani Murphy za to była jej bliższa niż rodzona matka. Opiekiwała się nią od urodzenia i praktycznie ją wychowała. Zastępowała jej rodziców, którzy zawsze byli zbyt zajęci swoimi karierami, i Josie była jej za to niesamowicie wdzięczna.

W normalnych okolicznościach, czyli gdyby rodziców Josephine nie było w domu, pani Murphy usiadłaby razem z nią i umilałaby jej śniadanie luźną rozmową. Od zawsze wykazywała szczerą zainteresowanie tym, co się akurat działo w życiu dziewczyny. Jednak tego dnia nie mogła sobie pozwolić nawet na nucenie pod nosem, jak to miała w zwyczaju, więc Josephine zjadła posiłek w nieco niekomfortowej ciszy

i pospiesznie skierowała się do wyjścia. Nie chciała dłużej przebywać w domu, gdy byli w nim rodzice. Przystanęła jedynie na chwilę, by życzyć kobiecie miłego dnia.

— Wzajemnie, moja droga. Twoja mama kazała przypomnieć ci, że jecie dziś wieczorem wspólną kolację przed powrotem jej i ojca do Londynu. — Głos pani Murphy dobiegł ją, gdy wkładała płaszcz. Z trudem powstrzymała się od komentarza, że określenia *miły dzień* i *kolacja z rodzicami* wzajemnie się wykluczają.

Zamiast tego wyszła z domu i wolnym krokiem skierowała się do szkoły, owijając się szczelnie płaszczem. Był początek września i typowa angielska pogoda dawała o sobie znać. Przez chwilę rozważała nawet wzięcie auta, jednak nie zdecydowała się na to. Zdobyła prawo jazdy w wakacje, dzięki usilnym namowom jej najlepszej, a właściwie jedynej przyjaciółki, ale prowadzenie samochodu nadal budziło w niej lekki strach. Starła się więc tego unikać, jeździła tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Dlatego codziennie rano od początku roku szkolnego fundowała sobie ponad dwudziestominutowy spacer.

Mieszkała w jednym z typowych angielskich miasteczek, które idealnie nadawało się na pocztówki. Z rzeczy wartych uwagi, jakie składały się na całkiem malownicze Moreton w hrabstwie Essex, można było wymienić jeden klub i jeden pub z okazjonalną muzyką na żywo, dwie knajpki z jedzeniem wątpliwej jakości, jedno jezioro, nad którym znudzona młodzież z braku lepszych rozrywek spędzała większość ciepłych dni, oraz kilka butików z ubraniami, które wyszły z mody co najmniej dwa sezony wcześniej. Miejscowość liczyła kilka tysięcy mieszkańców, spośród których każdy znał każdego albo przynajmniej wiedział o każdym coś, co zupełnie nie powinno go interesować.

Z tego powodu lokalnym hobby dla całych rodzin stało się utrzymywanie pozorów. Wszyscy chcieli prezentować się w oczach reszty mieszkańców lepiej, niż wyglądali w rzeczywistości, umniejszać wady i tuszować drobne lub czasem wielkie grzechy. Obłuda była zakorzeniona w sercach niektórych równie głęboko jak wiara, a może nawet głębiej.

Josie doskonale o tym wiedziała, bo jej rodzina wyniosła to swoje hobby niemal do rangi sztuki.

\* \* \*

— Poznałam kogoś! — oznajmiła radośnie Valerie, gdy tylko odnalazła przyjaciółkę na szkolnym korytarzu i podeszła wystarczająco blisko. Choć to ostatnie było zupełnie niepotrzebne, jej przepełniony ekscytacją głos i tak był słyszalny dla wszystkich znajdujących się w pobliżu. Część z uczniów nawet nie siła się na dyskrecję: obrócili głowy w kierunku dziewczyny, licząc, że uda im się wyłapać nową plotkę, o której będą mogli dyskutować ze znajomymi na długiej przerwie.

— Też się cieszę, że cię widzę, Valerie. Weekend upłynął mi przyjemnie, dziękuję, że pytasz — odpowiedziała sarkastycznie Josephine, nie spoglądając nawet w kierunku dziewczyny. Była zbyt zajęta układaniem książek w szafce. Kątem oka widziała dwie nastolatki z młodszego rocznika, które starały się podsłuchać, kim był ten poznany chłopak.

Istotną kwestią, jeśli chodziło o Valerie Hughes, był fakt, iż dziewczyna poznawała nowego chłopaka przynajmniej raz w miesiącu. Nic więc dziwnego, że Josephine, delikatnie mówiąc, nie podzielała entuzjazmu przyjaciółki.

— Jest niezmiernie przystojny, ma na imię Ethan, chodzi do naszej szkoły, gra w zespole i jest absolutnie idealny.

Josie wydało się odrobinę zabawne, że w tym krótkim przedstawieniu swojego nowego obiektu fascynacji dziewczyna uznała, iż informacja o wyglądzie jest ważniejsza od imienia. Postanowiła jednak to przemilczeć i jak przystało na dobrą przyjaciółkę, kiwała głową z uznaniem na kolejne informacje o *nieziemskim Ethanie*.

Valerie Elizabeth Hughes była kompletnym przeciwieństwem Josephine, zarówno z wyglądu, jak i charakteru. Pełna słodczy blondynka z upodobaniem do wszystkiego, co kolorowe, i mocnego makijażu była nie tyle chorągiewką na wietrze, ile wręcz wiatrem samym w sobie. Zmienna, zaskakująca i nieprzewidywalna, a jednocześnie pełna uroku osobistego i czaru, który sprawiał, że zwyczajnie nie można było jej nie lubić.

Podczas gdy Valerie była ciepłą wiosną i słonecznym promieniem rozjaśniającym otoczenie, Josephine Sinclair można było porównać do zimy, i to bynajmniej nie łagodnej, angielskiej, a takiej panującej gdzieś daleko na północy, a może nawet na samym biegunie polarnym.

Postronny obserwator od razu zauważyłby, że dziewczyna jest równie piękna, co blondwłosa przyjaciółka, o ile nie piękniejsza. Jeśli brało się pod uwagę jedynie wygląd, bez wątpienia stanowiła ideał niejednego nastolatka w Moreton. Na tę perfekcję składały się ciemnobrązowe włosy, opadające na ramiona miękkimi kaskadami, długie nogi oraz figura i twarz, którymi mogłaby zdobić okładki magazynów modowych.

Gdyby do tego emanowała tą samą charyzmatyczną energią co przyjaciółka, bez trudu mogłaby mieć niemal każdego. Problem polegał jednak na tym, że Josephine Sinclair była lodową pięknoscią. W jej zimnych oczach, zamkniętej postawie i aurze wyższości czaił się chłód, który nie tylko skutecznie odstraszał męską część szkoły, ale stanowił barierę dla wszystkich, którzy chcieliby znaleźć się zbyt blisko.

Josie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jaką ma opinię i jakie wrażenie sprawia na otoczeniu. Sama o nią zadbała i nie miała zamiaru dokonywać jakichkolwiek zmian w tej kwestii, podobnie jak nie miała zamiaru nikogo do siebie dopuszczać. Istniała ku temu cała lista powodów, prawie tak długa, jak lista byłych chłopaków Valerie.

\* \* \*

— Dobry wieczór, mamó, tato — powiedziała uprzejmie, gdy wieczorem weszła do jadalni, w której czekali na nią rodzice. Pilnowała, by jej głos brzmiał pewniej, niż się czuła.

— Spóźniłaś się. — W odpowiedzi usłyszała surowy głos matki. Jakkolwiek dziwny mógłby się wydawać się fakt, że kilkuminutowe spóźnienie na zwyczajną kolację z rodzicami było czymś godnym reprymendy, Josephine wcale się nie zdziwiła. Lillian Sinclair wykorzystaby każdą okazję, by skrytykować córkę.

— Przepraszam, uczyłam się i straciłam poczucie czasu. — Z jej ust z łatwością wypłynęło kłamstwo mające udobruchać matkę. Prawda



wyglądała tak, że nie była w stanie się zmusić do zejścia na spotkanie z rodzicami na czas, ale argument o uczeniu się był jednym z niewielu, których jej rodzice nie podważali.

— Skoro o tym mowa, jak sobie radzisz w szkole? — Tym razem odezwał się ojciec, spoglądając na nią znad talerza. — Rozmawiałem ostatnio na twój temat z dyrektorem Hopkinsem. Wydawał się bardzo zadowolony, chwalił twoje dotychczasowe wyniki.

— Oczywiście, że jest zadowolony — prychnęła matka. Dla niej nawet pochwała dyrektora szkoły nie oznaczała, że jej córka nie mogłaby się starać *bardziej*. — Głupiec zamierza się szczycić tym, że jego szkoła wychowała przyszlą studentkę Harvardu, jakby w jakikolwiek sposób się do tego przyczynił. Jego opinia wcale nie oznacza, że wyniki Josephine są wystarczająco dobre, więc na twoim miejscu bym się tak nie cieszyła, bo nasza córka wciąż może przynieść wstyd rodzinie, jeśli się nie dostanie.

— Zapewniam cię, że są, mamo. Daję z siebie wszystko. — Minęło zaledwie kilka minut kolacji, a Josie już nie mogła się doczekać końca. — Nie zawiodę was.

— Jeśli chcesz studiować na najlepszej uczelni, musisz być najlepsza, doskonale o tym wiesz.

— Wiem — odpowiedziała, mimo że nie było to konieczne. Matka powiedziała już wszystko, co chciała na ten temat, i wróciła do posiłku, co było równoznaczne z końcem rozmowy. Dalsza część kolacji upłynęła w ciszy. Zakłócały ją tylko krótkie wymiany zdań między dorosłymi na tematy związane z pracą.

Lillian i Anthony Sinclair zdecydowanie tworzyli idealnie dobrane małżeństwo. Nie tylko dlatego, że byli tak samo oziębłe wyniośli i wymagający, ale przede wszystkim dlatego, że oboje kochali swoją pracę bardziej niż siebie nawzajem czy cokolwiek lub kogokolwiek innego. Wspólnie prowadzili renomowaną kancelarię prawniczą w Londynie i to właśnie tam spędzali całe tygodnie, na ogół zbyt zajęci swoim małym imperium, by poświęcać uwagę córce.

Josephine zaś to w zupełności odpowiadało. Nawet samotne tygodnie w ogromnym domu nie sprawiały, że pragnęła obecności rodziców. Wiele lat temu zrozumiała, że w przypadku jej rodziców miejsce, które w teorii było zarezerwowane na uczucia, zostało zapełnione przez niekończące się wymagania, i wyzbyła się dziecięcej potrzeby rodzicielskiej miłości czy uwagi.

Dorastając, powoli godziła się z tym stanem rzeczy. Nie miała innego wyjścia. Nabrała dystansu, czerpiąc pocieszenie z tego, że kiedyś w końcu przyjdzie moment, w którym relacje z rodzicami zostawi za sobą, podobnie jak całe dotychczasowe życie.

## Rozdział 2

— Ty mnie w ogóle nie słuchasz! — Oburzona Valerie posłała przyjaciółce spojrzenie pełne wyrzutu.

Josie nie miała zamiaru zaprzeczać, ponieważ w istocie oskarżenie blondynki było pierwszym, co dotarło do niej od ponad dziesięciu minut.

— Bo ciągle mówisz to samo — westchnęła i w poddańczym geście zamknęła książkę. Przy nieustannie mówiącej Valerie i tak nie było mowy o skupieniu.

Powodem całego zamieszania był *nieziemski Ethan*, który ostatnio stanowił główny temat rozmów dziewczyn, a raczej monologów Valerie skierowanych do Josephine.

Wbrew pozorom Hughes rzadko kiedy zdawała szczegółowe relacje ze swoich miłosnych podbojów. Szanowała fakt, że ten temat nie wzbudzał zainteresowania Josephine, która miała na głowie poważniejsze sprawy niż jej randki. Dlatego na ogół zostawiała dla siebie opowieści o tym, co, gdzie i z kim robiła.

Z wielu powodów, przede wszystkim ze względu na diametralne różnice między dziewczynami, ich przyjaźń nie była jedną z tych, które wymagały dzielenia się wszystkimi szczegółami z życia i całkowitego braku sekretów. Josephine i Valerie były ze sobą blisko związane, jednak obie pewne sprawy zachowywały dla siebie. Fakt, że przyjaźniły się od dziecka, był dowodem na to, że ten system się sprawdzał.

Dlatego dla Josie dość niepokojącą zmianą była nagła potrzeba przyjaciółki, by szukać wsparcia w kwestii nowej znajomości. Kto jak kto, ale Josephine była ostatnią osobą, która powinna doradzać w sprawach sercowych.

— Nie rozumiem, dlaczego tak to przeżywasz. To tylko chłopak, nie fizyka atomowa. Zrób to, co zwykle robisz, i Ethan padnie ci do stóp jak wszyscy.

— On nie jest jak wszyscy! Wiedziałybyś, gdybyś choć trochę słuchała tego, co mówiłam do ciebie przez ostatnie dwa tygodnie. Ethan jest zupełnie inny niż chłopcy, z którymi wcześniej się spotykałam. — Valerie wspięła się na łóżko obok przyjaciółki i opierając plecami o ramię, spojrzała w sufit. — Inni zazwyczaj skupiają się na moim wyglądzie i myślą, jak najszybciej zaciągnąć mnie do łóżka.

Josie mimowolnie skrzywiła się na te słowa. Nie musiała znać wszystkich szczegółów z życia miłosego przyjaciółki, by wiedzieć, że przewinęło się przez nie zdecydowanie zbyt wielu palantów, którzy chcieli ją jedynie wykorzystać. Sama nie wiedziała, czy po tylu rozczarowaniach miałaby w sobie wystarczająco dużo wiary w prawdziwą miłość, by dalej szukać jej tak wytrwale, jak to robiła Valerie.

— Ethan taki nie jest, wydaje się szczerze zainteresowany *mną*, a nie moją ładną buzią i rozmiarem stanika. Naprawdę go lubię i nie chcę tego zepsuć. Co, jeśli zrobię złe wrażenie i jego przyjaciele mnie nie polubią?

Znajomość z Ethanem rozwijała się od dwóch tygodni. Kilka dni temu chłopak zaprosił Valerie, by poznała jego przyjaciół. Z relacji blondynki wynikało, że są dla niego ogromnie ważni. To potęgowało wątpliwości dziewczyny, od której zazwyczaj wręcz biła pewność siebie.

Zupełnie niepodobne do Valerie wahanie w głosie sprawiło, że Josie odruchowo nachyliła się, by objąć przyjaciółkę ramieniem.

— Val, nie ma absolutnie żadnej możliwości, żeby ktoś oparł się twojemu urokowi. Bądź zwyczajną, czarującą sobą. Obiecuję, że to wystarczy — przekonywała z uśmiechem. — Jego przyjaciele cię pokochają.

— A jeśli nie? — Mimo że były w tym samym wieku, Valerie miała w sobie jakąś kruchość, która budziła w Josie potrzebę chronienia blondynki, jakby była ona jej młodszą siostrą.

— To okażą się kompletnymi idiotami. — Wzruszyła ramionami, powodując rozbawione parsknięcie Val.

— Mogłabyś iść ze mną, wiesz? Skoro ja mam poznać jego kumpli, to on poznałby ciebie, a mi byłoby rażniej. — Spojrzała na nią z proszącym wyrazem twarzy. Josie była wdzięczna sama sobie za nabytą przez lata asertywność wobec niebywałego uroku przyjaciółki.

— Nie ma takiej opcji. — Szybkość, z jaką nastąpiła zmiana empatycznej i wspierającej przyjaciółki w zimną i zamkniętą dziewczynę, jaką widzieli wszyscy, była zaskakująca. Jednak nie zniechęciło to Valerie, która doskonale znała obie wersje brunetki.

— Ale...

— Nie. — Stanowczy głos Josephine nie pozwolił jej dokończyć. — Nie ma mowy, Valerie. Najlepiej ze wszystkich wiesz, jaki jest plan. Nie ma w nim miejsca na nowe znajomości. To jedyne rozsądne wyjście.

Valerie znała swoją przyjaciółkę wystarczająco długo i wystarczająco dobrze, by rozumieć powody, jakie stały za jej postępowaniem. Nie oznaczało to jednak, że je popierała.

— Wiem — powiedziała w końcu. — Josephine Sinclair i jej wielki plan na życie. Plan, który moim zdaniem jest głupotą. Sama się skazujesz na samotność zamiast korzystać z życia.

Plan Josephine wynikał z bardzo prostego rozumowania. Im mniej ludzi będzie jej bliskich, tym łatwiej będzie jej zostawić wszystko za sobą, gdy wyjedzie do Bostonu na studia. Każda osoba, która stałaby się dla niej kimś ważnym, zanim Josie opuści rodzinne miasto, byłaby osobnym powodem, by kiedyś wrócić do Moreton. Więzi z nimi stałyby się kotwicą na zawsze trzymającą jakąś jej część w miejscu, z którego pochodziła. A jedynym, czego Josie pragnęła bardziej niż uwolnienia się z tego przekłętogo miasta, było uwolnienie się od własnej rodziny.

Valerie była wyjątkiem od życiowej zasady Josephine, dlatego dobrze rozumiała powody desperackiej potrzeby ucieczki dziewczyny. Chociaż blondynka potrzebowała na to wielu lat, w końcu zaakceptowała fakt, że ich przyjaźń skończy się, gdy Josie wyjedzie. Z biegiem czasu zaczęła nawet podzielać opinię przyjaciółki, że kontakt ograniczony do wirtualnego byłby gorszy niż jego całkowity brak. Być może

udałoby im się nieco opóźnić zakończenie znajomości, ale na dłuższą metę utrzymanie bliskiej relacji wyłącznie przez internet było niemożliwe.

Wiedziała także, że istniały i inne powody tej niechęci do nawiązywania bliższych znajomości, nawet jeśli Josie nigdy nie wypowiedziała ich wprost.

Jednak szczegóły okropieństw, jakich doświadczała Josephine ze strony swojej matki, znajdowały się już poza granicami prywatności, których ich relacja nie przekraczała. Valerie więc nie naciskała, nawet jeśli jasne było dla niej, że przyjaciółka skazując się na samotność, krzywdziła samą siebie.

— Już niedługo — zapewniła Josephine, odczytując zmartwienie wypisane na jej twarzy. — Jak tylko znajdę się w Bostonie, nadrobię wszystko, co mnie ominęło, obiecuję.

Częściowo przekonywała też siebie, jakby chciała zabić wątpliwości wywołane słowami przyjaciółki. Oczywiście, że chciałaby korzystać z życia jak jej rówieśnicy. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Nie mogła być jak oni, jeśli chciała być od nich lepsza. Jeśli chciała spełnić oczekiwania matki i być *najlepsza*.

Największym problemem w życiu Josephine była świadomość, że to życie wcale nie należało do niej samej. Bo jak mogła mieć poczucie jego własności, skoro wszystko, co dotychczas się w nim działo, zostało zaplanowane przez kogoś innego?

Jedyną nieprzewidzianą rzeczą w życiu Lillian Sinclair była Josephine. Plan, który matka skrupulatnie sobie ułożyła, nigdy nie zakładał drugiego potomka. Dlatego niemałym zaskoczeniem była kolejna ciąża, w dodatku zaraz po tym, jak pierwsze dziecko stało się na tyle samodzielne, by w końcu mogła skupić się na rozwijaniu wymarzonej kariery.

Dowiedziała się o ciąży zaledwie pół roku po długo wyczekiwanej dołączeniu do męża, dołączeniu do imperium, którego powstanie było ich życiowym celem. Potrzebowali dziecka wyłącznie po to, żeby przejęło po nich to, co uda im się stworzyć. Te pragnienia spełniły się,

gdy na świat przyszedł ich syn, i Josephine właściwie była im zbędna. Dlatego Lillian nie miała zamiaru rezygnować z własnych planów ze względu na młodsze ze swoich dzieci. Poświęciła macierzyństwo, prawie całkowicie powierzając opiekę nad córką pani Murphy, i oddała się budowaniu kariery.

Nie zostawiła jednak kwestii przyszłości dziecka samej sobie. Dokładnie zaplanowała, kim będzie Josephine Sinclair — tak jakby chciała naprawić w ten sposób błąd, jakim było nieplanowane pojawienie się córki. I nawet jeśli wciąż była nieobecna w życiu córki, nie przeszkodziło jej to w dopilnowaniu, by jej oczekiwania wobec Josephine zostały spełnione.

Jako dziecko Josie sądziła, że musi zasłużyć na uwagę i miłość rodziców. Starła się więc być we wszystkim najlepsza, być idealnym dzieckiem, robić wszystko, czego od niej oczekiwano, a nawet więcej.

Jednak w miarę jak dorastała, zaczęła rozumieć, że nieważne, co zrobi, jak mądra, posłuszna czy ładna będzie — nigdy w pełni nie zadowoli rodziców. Nie była jednak w stanie im się sprzeciwić.

Zamiast tego znalazła wyjście.

O swojej przyszłości jako studentki prawa na Harvardzie słyszała na długo przed tym, zanim była w stanie pojąć, czym są studia. Nie potrafiła też wskazać w swoim życiu momentu, w którym marzenie rodziców stało się jej własnym.

Tyle że dla niej Harvard nigdy nie oznaczał uczelni o wysokim poziomie, nie był też drogą do wielkiej kariery. Dla Josephine te studia były przepustką do wolności. Szansą na życie, które w końcu byłoby jej własne.

Według rodziców miała skończyć studia i wrócić do domu, by razem z nimi i bratem tworzyć rodzinną kancelarię. Jednak ona sama wiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie, że nie pozwoli znów zamknąć się w klatce zbudowanej z oczekiwań rodziców.

W przeciwieństwie do Moreton w Bostonie miała zamiar znaleźć kotwicę, która skutecznie przymocowałaby ją do życia w Ameryce.

## Rozdział 3

Piątkowy wieczór Josie postanowiła przeznaczyć na pierwszy od dawna odpoczynek. Korzystała z faktu, że jej rodzice po ostatniej wizycie wrócili do Londynu i zajęli się swoim ulubionym dzieckiem, czyli pracą.

Zasady wpajane od wczesnych lat szkolnych sprawiały, że dziewczyna zawsze wyprzedzała materiał przynajmniej o kilka tygodni. To oznaczało, że niemal każdy wieczór poświęcała nauce. Tego dnia jednak rozmowa z Valerie wywołała mętlik w jej poukładanych myślach. Dlatego odłożyła książki i po wyjściu przyjaciółki spędzała czas w towarzystwie pani Murphy, która krzątała się po domu, nucąc pod nosem.

Jednak po skończonej pracy gosposia wróciła do domu. Josephine została sama. Próbowała zmusić się do podniesienia z kanapy obok ciepłego kominka i powrotu do własnej sypialni, ale utrudniał jej to nieznośny chłód panujący w domu.

Mieszczące się na końcu miasta *zamczysko*, bo tak dziewczyna zwykła nazywać własny dom, było jednym z największych budynków w Moreton. Skryta pomiędzy drzewami budowla w stylu wiktoriańskim należała do rodziny Sinclair od pokoleń i obecnie bez wątpienia mogłaby służyć jako miejsce akcji horroru.

Większość domu nigdy nie była używana przez rodzinę, jednak decyzją matki pokój Josephine znajdował się w zupełnie przeciwnej części niż sypialnia i gabinety rodziców. Gdy była niemowlęciem, jej rodzice jeszcze starali się wracać na noc z Londynu i spędzali w domu dużo więcej czasu. Sypialnia dziecka została więc umieszczona daleko, by jego płacz nie budził ich w nocy i nie rozpraszał w pracy.



Obecnie było to o tyle korzystne, że nawet gdy któreś z rodziców było w domu, Josephine nie czuła na każdym kroku ich obecności. Okazywało się wręcz zbawienne, gdy dla własnego dobra i spokoju wszystkich ograniczała chwile spędzone z rodzicami do niezbędnego minimum.

Sypialnia dziewczyny była zdecydowanie najbardziej przytulnym pomieszczeniem w domu. Nawet mając do dyspozycji cały budynek, Josie nie czuła wielkiej potrzeby opuszczania swoich czterech ścian.

Gdy znalazła się w sypialni, skierowała kroki w stronę przylegającej do niej łazienki, ale zatrzymał ją dźwięk dzwoniącego telefonu.

Jedyną osobą, która mogła do niej dzwonić o tej porze, była Valerie. Josie natychmiast odebrała, wciąż mając w głowie obawy przyjaciółki przed spotkaniem z Ethanem i jego przyjaciółmi.

— Halo? Val, wszystko w porządku?

W słuchawce usłyszała gwar rozmów, krzyki i odległe dźwięki muzyki, jednak nie uzyskała odpowiedzi od blondynki. — Valerie, słyszysz mnie?

— Joosie... — Sposób, w jaki Valerie przeciągnęła samogłoskę jej imienia, wystarczył, by zorientowała się, że dziewczyna była pijana. — Potrzebuję... cię. Przy... jedziesz? — Wypowiedź przerywana czknięciami tylko potwierdzała przypuszczenia co do stanu przyjaciółki.

— Gdzie jesteś? — Sekwencja bliżej nieokreślonych szumów, krótka odpowiedź *Aarmagedon* i dźwięki boleśnie przypominające wymiotowanie były ostatnim, co usłyszała przed przerwaniem połączenia.

Josephine westchnęła, przez chwilę analizowała zdobyte informacje. Troska o przyjaciółkę mieszała się w niej z irytacją. Prowadzenie samochodu, zwłaszcza o tej godzinie, by odebrać pijaną przyjaciółkę, plasowało się na samym końcu listy rzeczy, które miała ochotę robić. Nie miała jednak wyjścia. Jeśli Val potrzebowała jej pomocy, nie mogła jej zostawić.

W kilka minut doprowadziła się do względnego stanu gotowości do wyjścia i z bijącym sercem skierowała do garażu po samochód.

Mogła się jedynie modlić, by Valerie nie stała się krzywdą, zanim ją znajdzie.

Pod klubem była niedługo później. Dla bezpieczeństwa zaparkowała auto kawałek od budynku i ruszyła chodnikiem, rozglądając się za znajomą twarzą.

*Armagedon* był jedynym klubem w miasteczku, więc cieszył się sporą popularnością wśród młodzieży. W piątkową noc bawiła się tu znaczna część nastolatków Moreton, co znacznie utrudniało poszukiwania dziewczyny. Josephine nie miała nawet pewności, czy Valerie nadal znajduje się na zewnątrz, i nie wiedziała, co zrobi, jeśli przyjdzie jej przeszukać także wnętrze klubu. To, co widziała na zewnątrz, wystarczyło, by zyskała pewność, że nie chce się znaleźć w środku.

Ku jej uldze po kilku minutach dostrzegła znajomą sylwetkę, siedzącą na ławce w niewielkim parku po drugiej stronie ulicy. Ulga szybko wyparowała, gdy Josie zwróciła uwagę na mężczyznę pochylającego się nad dziewczyną. W świetle latarni dostrzegła tylko ciemne włosy, co pozwoliło jej od razu odrzucić podejrzenie, że to po prostu Ethan. Z opowiadań Valerie wynikało bowiem, że Ethan jest blondynem.

Josephine na ogół nie należała do osób działających impulsywnie. Zazwyczaj dokładnie analizowała sytuację, zanim przystępowała do działania. Jednak widok obcego mężczyzny pochylającego się nad półprzytomną przyjaciółką sprawił, że z miejsca porzuciła chłodną ocenę sytuacji.

— Hej! — krzyknęła do nieznajomego na sekundy przed tym, jak znalazła się wystarczająco blisko, by go odepchnąć. — Zostaw ją!

Domniemany napastnik, nie spodziewając się ataku, z trudem utrzymał równowagę.

— Odbiło ci?! Co ty wyprawiasz? — wrzasnął.

— Co ja wyprawiam?! A ty co chciałeś zrobić? Okraść? Wykorzystać to, że ledwo kontaktuje? — rzuciła oskarżeniami, mierząc chłopaka wściekłym wzrokiem. Był młodszy, niż założyła w pierwszej chwili. Mgliście kojarzyła go ze szkolnego korytarza, jednak to nie łagodziło jej podejrzeń wobec zamiarów nieznajomego. — Nie zbliżaj się do niej.

— Coś ci się, księżniczko, pomyliło. Tak się właśnie składa, że pilnuję, żeby nic jej się nie stało, więc zmykaj stąd — odpowiedział z jadem, który mógłby przestraszyć niejedną osobę. Jednak w tej kwestii Josephine była trudnym przeciwnikiem.

— Ach tak? — Był od niej nieco wyższy, więc uniosła głowę i popatrzyła na niego wyzywająco. — Skoro taki z ciebie anioł stróż, to dlaczego zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym po nią przyjechała?

— Może dlatego, że idiotka jest kompletnie pijana i nie wie, co robi. — Sarkazm podszyty prawdziwą wściekłością na całą tę sytuację był kolejną bronią wymierzoną w atakującą go furiatkę. Jednak tym razem dziewczyna nie odpowiedziała, skupiła uwagę na sprawcy całego zamieszania.

Kucnęła przy pochylonej dziewczynie, ignorując zarówno chłopaka, który wciąż uparcie mordował ją spojrzeniem, jak i wymiociny na chodniku obok stóp blondynki.

— Val, w porządku? Dobrze się czujesz? — W przeciwieństwie do sposobu, w jaki odzywała się do mężczyzny, teraz brzmiała, jakby mówiła do dziecka. W jej głosie słychać było szczerą troskę o przyjaciółkę.

— Josephine? Dlaczego cię nie widzę? — Blondynka mówiła bardziej składnie niż wcześniej przez telefon, jednak jej głos był zduszony przez dłonie trzymane przy twarzy.

— Ponieważ zasłoniłaś sobie oczy rękoma — wytłumaczyła cierpliwie Josie i pomogła Valerie odsłonić twarz.

— Mówiłem, że jest kompletnie schłana! — Dobiegł do niej przesmiewczy głos za jej plecami.

— Nikt cię nie pytał — upomniała nieznajomego, wciąż zwrócona ku przyjaciółce. — Dlaczego ona w ogóle jest w takim stanie? Miała być z chłopakiem i jego przyjaciółmi. — Wyprostowała się, mierząc swojego rozmówcę podejrzliwym wzrokiem. — I kim ty tak w ogóle jesteś?

— Gdybyś wpadła na to, żeby mnie zapytać, *zanim* postanowiłaś się na mnie rzucić, z przyjemnością wyjaśniłbym ci całą sytuację. —

Jego głos wciąż ociekał sarkazmem, jakby ten był nieodłączną częścią każdej wypowiedzi młodego mężczyzny. On sam był już jednak odrobinę spokojniejszy. — Skoro już chcesz wiedzieć, to jestem Chase, przyjaciel chłopaka twojej przyjaciółki... — Przerwał na chwilę i spojrział na nią z kpiącym uśmiechem. — Chociaż mogłaś wpaść na to sama, podobno jesteś mądra. — Dziewczyna nie miała pojęcia, co i skąd o niej wiedział, ale nie miała głowy do tego, by się tym przejmować.

— Wybacz mi ten karygodny błąd, ale z tego, co słyszałam o Ethanie, to miły chłopak. Nie mogłam od razu wpaść na to, że przyjaźni się z takim dupkiem jak ty — odpowiedziała z takim samym kpiącym uśmiechem, wywołując w nim jednocześnie zdziwienie i irytację.

Chase w swojej skromnej opinii miał pełne prawo, by być zirytowanym. Poświęcił urodzinowy wieczór, który miał zamiar spędzić w swój ulubiony sposób, czyli w spokoju i w samotności, by poznać dziewczynę przyjaciela. Skończył jako niańka dla owej dziewczyny, która w obecnym stanie budziła w nim jeszcze większą irytację niż na początku. W dodatku musiał trzymać jej włosy, gdy spożyty przez nią alkohol starał się znaleźć drogę powrotną.

A wszystkie te poświęcenia po to, by na końcu zostać zaatakowanym przez jakąś wariatkę i oskarżonym niemal o próbę gwałtu. Taki wieczór mógłby zdrowo nadszarpnąć cierpliwość i spokój każdego, a Chase nigdy nie należał do osób z wielkimi pokładami zarówno jednego, jak i drugiego.

Zanim zdążył odgryźć się dziewczynie, zobaczył zbliżającego się przyjaciela.

— Co z nią? — zapytał tamten, z trudem łapiąc oddech. Gdy z Valerie zaczęło dziać się bardzo źle, Ethan zostawił ją pod opieką Chase'a, a sam wybrał się na poszukiwanie otwartego sklepu. Chciał kupić blondynce wodę i coś do jedzenia w celu zniwelowania działania alkoholu.

W tym czasie trzeci członek męskiej kompanii, Archer, zabawiał się z najlepsze w klubie z nowo poznaną dziewczyną. Niektórzy po prostu potrafią się ustawić w życiu znacznie lepiej niż inni.

Ethan ominął przyjaciela i dołączył do dziewczyn. Zaczął rozmawiać z ciemnowłosą furiatką, co Chase uznał za sygnał, że jego zadanie dobiegło końca. Postanowił wrócić do domu — miał serdecznie dosyć wszystkiego, z nie zrównoważonymi dziewczynami na czele.

Nie zdawał sobie jeszcze wtedy sprawy, że bez większego wysiłku udało mu się wyprowadzić z równowagi Josephine Sinclair, która zawsze panowała nad emocjami. To samo w sobie było osiągnięciem godnym podziwu i mogłoby stanowić powód do dumy.



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# Ta dziewczyna. Ten chłopak. Nie ten czas...

Dwoje licealistów z małego miasteczka nieopodal Londynu: Josephine, wzorowa dziewczyna z tak zwanego dobrego domu, i Chase, chłopak, o którym można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest ideałem. Dom rodzinny Chase'a też trudno byłoby nazwać dobrym — jego matka od zawsze więcej uwagi poświęcała narkotynom i alkoholowi niż synowi.

Josephine za chwilę wyjedzie na studia do Bostonu, by tam spełniać oczekiwania rodziny — musi przecież być *perfekcyjna*. Chase... cóż, po prostu postara się nie wkroczyć na drogę, jaką od lat podąża jego matka.

Z pozoru tej dwójki nastolatków nie łączy nic poza miejscem zamieszkania i szkołą. A jednak mają ze sobą coś wspólnego. Oboje, każde na swój sposób, próbują sobie radzić z samotnością. Chowają się za maską obojętności, ukrywają przed światem swoje prawdziwe, wrażliwe oblicza. Trafiają na siebie przypadkiem, a rozwój wydarzeń sprawia, że powoli odkrywają się przed sobą nawzajem, może nawet bardziej, niż by sobie życzyli. Czy to w ogóle ma sens, skoro Josie za moment zniknie ze świata Chase'a?

**Poznajcie historię, która w serwisie Wattpad zdobyła uznanie prawie 400 tysięcy czytelniczek!**

Patroni medialni:



**beyA.**  
beyA.pl

ebook dostępny na:  
**ebookpoint**

ISBN 978-83-8322-799-3



9 788383 227993

Cena: 44,90 zł